

Dariusz Gawin: Polityka historyczna

Sam powrót do przeszłości wzmacnia demokrację liberalną jako pewien system dlatego, że wzmacnia zakorzenienie w przeszłości, pomaga obywatelom odnaleźć się, utożsamić się z państwem i ze wspólnotą.

O polityce historycznej będę mówił w szerszym intelektualnym kontekście, starając się wyjaśnić, z jakich powodów i z jakich przyczyn to pojęcie pojawiło się w naszym dyskursie i dlaczego wzbudziło tak duże kontrowersje. Co do tego bowiem, że kontrowersje są wielkie – w sposób oczywisty panuje zgoda. Obecnie jesteśmy w fazie drugiej „wojny na górze” w historii Polski ostatnich kilkunastu lat. Oczywiście historia nigdy nie powtarza się dokładnie, ale w wypadku tej drugiej „wojny na górze” nie sposób oprzeć się wrażeniu, iż polityka historyczna budzi tak wielkie kontrowersje jak hasło lustracji czy dekomunizacji kilkanaście lat temu. Oczywiście, to nie jest pełne powtórzenie dramatu tych wydarzeń sprzed kilkunastu lat, ale czasami wydaje mi się, że tak jak w wypadku pierwszej „wojny na górze”, często panuje niezrozumienie co do intencji, które kierują osobami odpowiadającymi się za koniecznością prowadzenia polityki historycznej. Mam niestety wrażenie, iż często za całą dyskusję ze strony przeciwników tego pojęcia wystarcza zadekretowanie złej woli drugiej strony, uchylające jakąkolwiek zdolność do debaty o argumentach. Postaram się więc zarysować najpierw kontekst historyczny pojawienia się tego pojęcia. A potem wyjaśnić powody, dla których debata o polityce historycznej jest o wiele głębsza i ważniejsza w sensie intelektualnym, niż się to na pozór wydaje.

Kontekst historyczny obejmuje znacznie większy kompleks problemów niż tylko sprawy polskie. Jest to pewien klimat intelektualny, który zapanował w wolnych zachodnich społeczeństwach demokratycznych po upadku komunizmu. Przywołam tutaj znaną koncepcję Francisca Fukuyamy o „końcu historii”. Hasło „końca historii” stanowiło odzwierciedlenie pewnego optymistycznego nastroju, jaki zapanował na początku lat 90., końca pewnego dramatu historycznego, historii jako pewnego gwałtownego sporu, w którym ścierają się racje, który jest dramatyczny, w którym trzeba wybierać, po jakiej stronie się stoi. Była to również taka wizja wyjścia poza historię i sprowadzenia polityki do procesu technokratycznego zarządzania procesami ekonomicznymi czy – szerzej – cywilizacyjnymi. Przywołam tutaj także hasło, które ukuł James Carville – strateg partii demokratycznej w wyborach 1992 roku w sztabie Billa Clintona: *it's the economy, stupid* – po pierwsze gospodarka, głupcze. Były ono powtarzane u nas, miało wersję Kwaśniewskiego: wezwania, żeby wybrać przyszłość, o czym mówił profesor Smolar.

Pierwszy cień na ów nastrój optymizmu rzuciły wojny bałkańskie. Jednakże doświadczenie wojen w byłej Jugosławii zostało zapomniane i intelektualny problem związany z tymi wojnami został wyparty przez zachodnie społeczeństwa. Dlatego też definitywny koniec tego optymizmu lat 90. Przyszedł wraz z zamachami 11 września 2001 roku. I to nie tylko dlatego, że to był definitywny koniec „końca historii”, że historia znowu rozpoczęła swój bieg z wielką mocą, że ten dramat znowu zaczął się dziać na naszych oczach, ale także dlatego, że islamski fundamentalizm rzucił wyzwanie Zachodowi jako ideologiczny kontrprojekt – wbrew podstawowemu założeniu Fukuyamy, iż demokracja liberalna stanowi „koniec historii”, zwieńczenie historii, ponieważ nie ma już żadnych ideologicznych konkurentów. Oczywiście

fundamentalizm islamski nie jest tak silny jak komunizm i nigdy nie będzie stanowił realnego zagrożenia dla istnienia zachodniej cywilizacji. Nie jest zatem ważny sam akt rzucenia wyzwania Zachodowi, ile raczej konsekwencje dla samego Zachodu tego, co się po zamachach stało, reakcje społeczeństw zachodnich na ten zamach. Jednym z ukrytych założeń rozumowania Fukuyamy było to, że wszystkie społeczeństwa zachodnie stworzą harmonijną rodzinę, która będzie się zgadzała co do swoich podstawowych wartości. Wielki spór, którzy rozgorzał o to, jak prowadzić politykę wobec islamskiego fundamentalizmu, i który na początku wydawał się absolutnie abstrakcyjny, bo wszyscy zgadzali się co do konieczności interwencji w Afganistanie – potem przybrał niezwykle ostry kształt przy okazji wojny w Iraku. Jego istotą nie było to, czy George Bush wybrał dobrą czy złą politykę, gdyż bardzo szybko okazało się, że konflikt pomiędzy „starą” Europą a Stanami Zjednoczonymi przerodził się w spór dotyczący tego, czyja wersja stylu życia, demokracji, gospodarki itd. jest lepsza. Czyli tak naprawdę w obrębie samej wspólnoty zachodnich społeczeństw rozpoczął się wielki spór o tożsamość. Okazało się, że kwestia tożsamości jest jedną z decydujących kwestii politycznych rozogniających społeczeństwa po obu stronach Atlantyku. Nagle – także poprzez odwołania do historii – zaczęto tłumaczyć zachowania całych narodów. To właśnie na tej fali sporów i debat zrobiły karierę amerykańskie książki o polskiej historii. Amerykanie nagle zainteresowali się, jaką tożsamość ma ten niezwykle naród, który walczy wspólnie z nimi w Iraku. Stąd zainteresowanie książkami Daviesa, pojawienie się książek amerykańskich autorów o Dywizjonie 303, o lotnikach, czy o spadochroniarzach Sosabowskiego. Najciekawszym przykładem takiej książki, która tłumaczyła politykę poprzez tożsamość, była książka Roberta Kagana opisująca Amerykanów jako tych, którzy są z Marsa, a Europejczyków jako tych,

którzy są z Wenus. Nagle powróciły wszystkie figury retoryczne, porównania, także – niestety – stereotypy, które funkcjonowały w – jak się wydawało, minionej na zawsze – przeszłości.

Dalej była kwestia sporu o konstytucję europejską, o kwestię chrześcijaństwa w jej preambule. Była kwestia Ukrainy, która na początku poróżniła nas i naszych zachodnich partnerów. Następnie była kwestia chust noszonych przez muzułmanki w publicznych szkołach we Francji – problem, w związku z którym Francuzi musieli się zmierzyć z pytaniem, jak się zachować wobec fundamentalizmu islamskiego, który znajdował się w ich granicach. Musieli tego dokonać poprzez pogłębioną analizę własnej historycznej tożsamości republikańskiej. I w końcu rok 2004 rozpoczął falę 60. rocznic związanych z zakończeniem II wojny światowej. Pierwsza z nich to czerwcową rocznica lądowania w Normandii, potem było Powstanie Warszawskie, następnie rocznica zamachu na Hitlera, rocznica wyzwolenia obozu w Auschwitz, a potem były końcowe uroczystości w Moskwie, zorganizowane przez prezydenta Putina. Wszędzie pojawiała się kwestia przeszłości i tożsamości narodowej, traktowana jako przedmiot bieżącej polityki.

Podsumowując: ten zwrot w nastawieniu do przeszłości, który się dokonał, streścił najlepiej tytuł tekstu Jose Casanovy, znanego amerykańskiego intelektualisty, który pisząc w „Index on Censorship” artykuł o powrocie religii jako tematu politycznego na progu XXI wieku, zatytułował go *It's all about identity, stupid*, czyli w wolnym tłumaczeniu można powiedzieć: po pierwsze tożsamość, głupcze. Tym samym *identity*, a nie *economy* jest tym obszarem, na którym trzeba się koncentrować, żeby rozumieć to, co się dzieje we współczesnym świecie. Oczywiście nie jest tak, że rządy porzuciły myślenie w

kategoriach gospodarki, twardych interesów itd. Tak jak dawniej są to obszary, na których skupia się uwaga rządów, ale awans problemu tożsamości zbiorowej i historii w porównaniu z sytuacją, z którą mieliśmy do czynienia kilkanaście lat temu – jest znaczący i musi być uznany za fakt.

Polska oczywiście była wplątana w opisane tu zjawiska jak wszystkie społeczeństwa zachodnie i także miała swoją odmianę tego procesu. W Polsce, o czym mówił profesor Smolar, decydującą rolę w kwestii interpretacji II wojny światowej i jej konsekwencji odegrała z jednej strony Erika Steinbach i jej Centrum Przeciwko Wypędzeniom, a z drugiej – Władimir Putin z jego neostalinowską interpretacją wydarzeń sprzed 60 lat. Zaktywizowało to polską opinię publiczną. Wielu przedstawicieli środowisk opiniotwórczych, którzy są niezwykle krytyczni wobec postulatu polityki historycznej prowadzonej na użytek wewnętrzny, zgodziło się, że państwo polskie powinno mieć przynajmniej politykę historyczną na zewnątrz. Istnieje w tej sprawie szeroki konsensus. Wydaje mi się nawet, że wielu z tych, którzy krytykują pewne aspekty polityki historycznej wewnątrz Polski, zgadza się co do tego, że dobrze jest pilnować, by za granicą nie mówiło się np. o polskich obozach koncentracyjnych. Przywołuję przykład profesora Wenera, który w ostatnim „Przeglądzie Politycznym” niezwykle krytycznie potraktował autorów piszących o polityce historycznej – łącznie ze mną, ale w krótkim passusie zgodził się, że w obszarze polityki zagranicznej istnieje potrzeba prowadzenia takiej polityki. Oczywiście trzeba pamiętać, iż polityka historyczna nie zastąpi polityki gospodarczej, kwestii bezpieczeństwa itd. Dlatego też nie można wysuwać zarzutu, że polityka historyczna jest w tym sensie proponowana jako antidotum na wszystko. Państwo polskie ma wiele instrumentów działania i każdy z nich powinien być sprawny. Jeżeli

zatem państwo polskie ma dobrze działać w sferze międzynarodowej, to powinno mieć także sprawny instrument zagranicznej polityki historycznej.

Przejdźmy wobec tego do wymiaru wewnętrznego polityki historycznej, bo tutaj istnieje właściwy, ostry spór. Moja teza jest taka, że Polska w latach 90. także miała swoją własną wersję „końca historii”, czyli pewnego klimatu intelektualnego, który zapanował na początku lat 90. W znacznej części środowisk opiniotwórczych. Utaił się wśród nich taki zespół poglądów, w myśl którego przeszłość to zbędny balast, który przeszkadza w procesie modernizacji, wobec tego nadmierna koncentracja na przeszłości może tylko zaszkodzić. W konsekwencji III RP była projektem, który nie posiadał wyraźnego zakorzenienia w przeszłości, co rozumiem w taki sposób, że nie posiadał, jak każde liberalno-demokratyczne państwo, czytelnego zespołu rytuałów, symboli, symbolicznych odniesień, pozwalających przekształcać obywateli w pewną wspólnotę, która posiada wewnętrzną solidarność. Postulat polityki historycznej jest przede wszystkim reakcją na zaniechania lat 90. Dzisiaj się o tym zapomina, że był to zgodny postulat zarówno Platformy Obywatelskiej, jak i Prawa i Sprawiedliwości. Obie te partie, które dzisiaj są głównymi siłami antagonistycznymi, idąc do wyborów, głosiły hasło polityki historycznej. Obie te partie krytykowały III RP i jednym z elementów tej krytyki był fakt, że w III RP nie było polityki historycznej.

Wobec tego w jaki sposób można wytłumaczyć, że polityka historyczna budzi dzisiaj tak wielkie kontrowersje? Oczywiście pomijam najprostsze wytłumaczenie, że postulat polityki historycznej jest postulatem obozu rządzącego, wobec tego wszyscy ci, którzy jeszcze półtora roku czy dwa lata temu popierali ten postulat, dzisiaj

zapomnieli, że go popierali i niezwykle ostro go zwalczają, ponieważ zwalczają wszystko, co jest w jakikolwiek sposób podobne do postulatów obozu rządzącego. To wytłumaczenie jest oczywiście wysoce prawdopodobne w polskich warunkach, ale tak banalne w sensie intelektualnym i godne pożałowania, że nie ma się tutaj nad czym głębiej rozwodzić. Wobec tego przejdźmy do innych możliwych źródeł dynamiki sporu o pojęcie polityki historycznej. Widzę tutaj dwa źródła takiej dynamiki: polskie uwarunkowania historyczne oraz głębsze uwarunkowania intelektualne.

Uwarunkowania historyczne polegają na traumie historycznej środowisk liberalno-lewicowo-inteligenckich, które często rozumują w następujący sposób: propagatorzy polityki historycznej proponują afirmację narodowej przeszłości; każda afirmacja prowadzi w konsekwencji do dumy; duma z własnej przeszłości prowadzi do megalomanii narodowej; megalomania narodowa prowadzi do ksenofobii; ksenofobia kończy się nacjonalizmem, autorytaryzmem i wszystkim, co w historii najgorsze. To jest takie rozumowanie, które każdy rozgarnięty student na Uniwersytecie Warszawskim potrafi udowodnić w pięć minut. Jest to postawa, która buduje całe swoje podejście do problematyki tożsamości i problematyki narodowej na nieufności wobec nacjonalistycznego zagrożenia. Spośród postaci istotnych dla polskiego życia intelektualnego, które stworzyły kanoniczne do dzisiaj modele dowodzenia, iż przesadne koncentrowanie się na tożsamości narodowej musi prowadzić nieuchronnie do rozwoju nacjonalizmu, można wymienić tak wielkie nazwiska polskiej kultury jak Jan Józef Lipski, Czesław Miłosz czy Adam Michnik.

Dlaczego tak jest, jak można uzasadnić budowę tego toku rozumowania i taką postawę? Myślę, że to jest trauma wynikająca z przedwojennego doświadczenia, jakie lewicowa, liberalna inteligencja miała z endecją, czy też w skrajnej postaci z ONR-em, a także trauma wynikająca z innej formy zagrożenia nacjonalistycznego – tej mianowicie, która wystąpiła w wersji moczarowskiej. Jest to całkowicie zrozumiałe jako psychologiczne źródło traumy pokoleniowej czy formacyjnej. Ale jednocześnie owa trauma powoduje, że tego rodzaju rozumowanie bywa wstępem do zupełnie chybionych wniosków. Automatyczne przenoszenie lekcji historycznej, której korzenie tkwią czy to w II Rzeczypospolitej, czy w epoce gomułkowskiej – do warunków III RP jest nazbyt automatyczne i nie pozwala zrozumieć tego, co się rzeczywiście dzieje. Obecnie Polska jest krajem demokratycznym – tymczasem nie była nim ani autorytarna II RP z lat 30., ani tym bardziej PRL z czasów Gomułki. Ponieważ Polska jest demokratycznym kraje, wobec tego każda polityka, nie tylko polityka historyczna, dzieje się w czymś, co bym określił jako demokratyczne środowisko, czyli w otoczeniu wszelkich instytucji i mechanizmów funkcjonowania demokratycznego społeczeństwa i państwa. Jest opozycja, jest wolna prasa, jest społeczeństwo obywatelskie, są wolne uniwersytety, jest absolutna swoboda działania. Co więcej, nie ma tak naprawdę mechanizmów łatwego oddziaływania na społeczeństwa. Demokratyczna władza nie ma jednego guzika, po którego naciśnięciu uzyskiwałaby natychmiastową i oczekiwaną zmianę w procesach społecznych. Każdy, kto by tak myślał, byłby naiwny.

Muzeum Powstania Warszawskiego jest przykładem podjęcia udanej próby zmiany kierunku myślenia w warunkach funkcjonującej demokracji oraz – co trzeba dodać – próby zmiany dokonanej w największym, najbardziej dynamicznym i nowoczesnym polskim

mieści, bo właśnie takim miastem jest Warszawa. Jeżeli mogę mówić w imieniu osób, które współtworzyły muzeum i także są odpowiedzialne za wprowadzenie pojęcia polityki historycznej do dyskursu publicznego, to chciałbym powiedzieć, że w polityce historycznej nie ma żadnego założenia, że cokolwiek w polskiej historii jest samo w sobie dobre i powinno być nauczane i recytowane jak pacierz przez każdego polskiego ucznia. W polityce historycznej chodzi raczej o to, że już sam powrót do historii jest w porównaniu z latami 90. czymś pozytywnym. Sam powrót do przeszłości wzmacnia demokrację liberalną jako pewien system dlatego, że wzmacnia zakorzenienie w przeszłości, pomaga obywatelom odnaleźć się, utożsamić się z państwem i ze wspólnotą. Oczywiście, trzeba tutaj znowu zrobić zastrzeżenie, że jest to tylko jeden z wycinków życia społecznego, gdyż często w zarzutach wobec polityki historycznej pobrzmiewa taka nuta, że jest to takie ideologiczne posunięcie obozu, który niczego innego nie potrafi zrobić czy załatwić, tylko chce indoktrynować społeczeństwo. Oczywiście tak nie jest. Pochlebiałbym sobie, gdyby polskie autostrady wyglądały tak jak Muzeum Powstania Warszawskiego – gdyby były równie podziwiane przez gości z zagranicy, jak podziwiane jest nasze Muzeum. Jeżeli polityka historyczna może coś zmienić, to być może np. polskie muzealnictwo albo problem mecenatu nad kulturą wysoką. Dzisiaj Andrzejowi Wajdzie łatwiej uzyskać dotację na film o Katyniu, niż w latach 90., kiedy nikt nie był zainteresowany taką tematyką. Dzisiaj Polski Instytut Sztuki Filmowej przekaze Andrzejowi Wajdzie pieniądze na taki film. Zmiana klimatu następuje w taki sposób, że teraz jest już oczywiste, że można także rozpisać konkurs na scenariusz filmu o Powstaniu Warszawskim, które cieszy się zainteresowaniem społecznym.

Zasygnalizuję jeszcze jedną sprawę, która wydaje mi się istotna. Wielkie emocje związane z dyskusją o polityce historycznej jako o potencjalnym zagrożeniu autorytaryzmem, nacjonalizmem i wszystkim tym, co w polskiej historii jest złe, są o tyle niedobre, że odwracają uwagę od rzeczywistego filozoficznego czy teoretycznego zaplecza tej potencjalnej debaty. Debata o polityce historycznej jest tak naprawdę głęboką debatą na temat tego, jak powinna wyglądać dobrze funkcjonująca demokracja liberalna: czy potrzebuje ona rytuałów i symboli, mitów spajających obywateli. Jak napisał przed kilkunastu laty lord Dahrendorf: demokracja liberalna jest „chłodnym projektem”, który należy napełnić jakąś treścią, który trzeba – pozostając w granicach tej metafory – „ocieplić”. Demokracja liberalna nie jest – jak dowodził – domem, trzeba ją dopiero domem uczynić. W tym sensie rytuały, symbole i odwoływanie się do przeszłości czyni z demokracji liberalnej to, co ludzi mogą uznać za własny dom. III RP w tym sensie była właśnie projektem chłodnym. Obywatele żyjący w III RP rozumieli, że mają powody do dumy z wejścia do Unii Europejskiej, z przystąpienia do NATO, z transformacji gospodarczej, ale to nie chwyciło za serca, ten projekt nie był „ciepły”. Pan profesor Smolar mówi, że w latach 90. były ważniejsze rzeczy i nie było czasu się tym zajmować. Moim zdaniem projekt III RP nie był „ciepły” także dlatego, że nie potrafił wytworzyć mechanizmów, które spowodowałyby, że ludzie przyjęliby to za swój własny projekt, który właśnie chwyci za serce. I w tym sensie polityka historyczna realistycznie rozumiana jest propozycją, by państwo polskie nie wyrzekało się, nie pozbawiało się instrumentów, które ma każde państwo, każda demokracja liberalna. Instrumentów takich jak sylabusy szkolne, święta państwowe, ceremonie, ale i małe rzeczy, jak ikonografia znaczków pocztowych i banknotów etc. Państwo musi umieć umiejętnie posługiwać się tymi instrumentami, żeby stworzyć ten dom, w którym obywatele się

odnajdują, uznając państwo za swój własny projekt. I w tym sensie nie jest to teza rewolucyjna, jest to wręcz teza umiarkowana. Rzeczpospolita powinna posługiwać się instrumentami, które zostały zarzucone w latach 90., a którymi, jak już wspomniałem, dysponuje każde demokratyczne państwo, takie jak Francja, Niemcy, Stany Zjednoczone. Te ostatnie nie są zresztą dobrym przykładem. Amerykanie posługują się pojęciem *civil religion*, czyli religii obywatelskiej. Każdy naród polityczny musie mieć sfery tzw. świeckiego sacrum, sfery, w których to, co polityczne, ma pewien rytuał i symbol. Mówię o tym dlatego, że każdy, kto był w Waszyngtonie, wie, że można tam pójść do National Archives, gdzie wystawiona jest *Deklaracja niepodległości*. Okrągły budynek przypomina świątynię. W miejscu, gdzie katolik zwykle poszukuje tabernakulum, jest wielka pancerna szyba, a za nią *Deklaracja niepodległości*. Tam w ciszy i skupieniu szkolne wycieczki przesuwają się, patrząc na jedną z kilku odręcznie napisanych *Deklaracji* – i to jest święte. A przecież Waszyngton nie jest stolicą ciemnogrodu – wręcz przeciwnie, jest to kraj, do którego od czasów Tocqueville’a Europejczycy jeżdżą, aby zobaczyć przyszłość własnego kontynentu. Szacunek dla przeszłości, poważne traktowanie rytuałów narodowych i symboli nie wyklucza nowoczesności, wręcz przeciwnie – stanowi w amerykańskich realiach wręcz warunek możliwości dynamicznego rozwoju.

Do publikacji w Internecie przygotował Adam Talarowski

Referat został wygłoszony 23 czerwca 2006 roku jako wprowadzenie do dyskusji w ramach Seminariów Lucieńskich, organizowanych przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego.